

JAZZ KOCHAM

Rozmowa z LORĄ SZAFRAN, zdobywczynią Grand Prix na Festiwalu w Sopocie.

-Do tej pory pani nazwisko kojarzyło się z muzyką jazzową. Występ w Sopocie ukazał drugą twarz Lory Szafran - piosenkarki estradowej. Czy porzuci pani jazz dla muzyki pop?

-Nie. Jest to pewien okres w moim życiorysie artystycznym. Po festiwalu mam więcej propozycji rozrywkowych. Chcę sprawdzić się w różnych gatunkach muzyki. Wokalistyka jazzowa stanowi tak trudną sztukę, że wciąż jest we mnie dużo pokory...

- Jak rozpoczęła się pani kariera wokalna?

-Całkiem przypadkowo. W drugiej klasie liceum kolega przyniósł mi w prezencie urodzinowym płytę Elli Rtzgerald. Płyta tak mnie zafascynowała, że po tygodniu znałam wszystkie piosenki na pamięć. Z czasem takie śpiewanie przerodziło się w trwałe zainteresowanie muzyką jazzową. Związałam się na kilka lat z grupą „Vitro Band”, działającą przy Hucie Szkła w Krośnie. W 1980 roku postanowiłam spróbować swoich możliwości na Festiwalu w Zielonej Górze. Zdobyłam tylko wyróżnienie. Jury miało dużo wątpliwości, czy piosenki radzieckie można śpiewać swingując. Dwa lata później złożyłam papiery na Wydział Wokalny Akademii Jazzu i Muzyki Rozrywkowej w Katowicach. Po studiach współpracowałam z grupą „Walk Away”, a od 1988 roku śpiewam z zespołem „New Presentation”.

-Czy po Festiwalu w Sopocie otrzymała pan) ciekawe propozycje?

-Dwie - zaproszenie do udziału w konkursie w Austrii oraz wyjazd na festiwal do Los Angeles. Ale najbardziej odczuwalnym efektem sierpniowego występu było zainteresowanie się prasy moją osobą. Udzieliłam kilkunastu wywiadów.:

-Powodzenie już panią męczy?

-Ależ skąd. Ja jeszcze nie wiem, co to znaczy być znaną. Śpiewam od 10 lat. W dalszym ciągu o wszystko zabiegam sama -muszę być agencją reklamową, impresariem, garderobianą, projektantką etc. Przyzna pani, że niewiele ma to wspólnego z wizerunkiem znanej gwiazdy.

-Dwa lata temu przyjechała pani do stolicy z małego miasteczka, Krosna. Przez ten czas nagrała pani autorską płytę „Lonesome Dancer”, wzięła udział w prestiżowym festiwalu Jazz Jambore '88, a teraz jeszcze sukces w muzyce pop. Czy to mało dla dziewczyny z prowincji?

-Owszem, na początku miałam kompleksy. Pamiętam, gdy w 1981 roku przyjechałam ze swoim zespołem na „Złotą Tarkę”, nie mogłam uwierzyć, że my, muzycy z Krosna, występujemy na scenie z wielkimi znanymi jazzmanami. Oszołomienie minęło dość szybko, natury jestem realistką i wiem, że sukces to lecz chwilowa. Aby go utrwalić, trzeba cały czas pracować nad sobą. Z powodu tego między innymi postanowiłam przeprowadzić się o stolicę. Tu są wielkie możliwości kontaktu s środowiskiem. Pomogła mi babcia. Dzięki jej oszczędnościom mogłam kupić dwupokojowe mieszkanie w Warszawie. Na początku było mi bardzo ciężko. Nie znałam nawet lic. Nie miałam przyjaciół ani znajomych, przez kilka miesięcy jedynym wyposażeniem domu był materac na podłodze. Ale jakoś obie poradziłam. Na życie i urządzenie mieszkania zarabiałam jeżdżąc na krótkie trasy o RFN. Śpiewała w niewielkich zadymionych knajpkach. Z tego samego powodu decydowałam się na dwumiesięczny wyjazd o Dubaju z kwartetem Wojtka Niedzielaka. Sraliśmy jazzowe standardy w eleganckiej restauracji ekskluzywnego hotelu.

-Do kotleta?

-Wcale się tego nie wstydzę. Wokalistce jazzowej naprawdę trudno jest wyżyć w Polsce. Poza tym na całym świecie najwięksi muzycy grają w klubach jazzowych, gdzie się je i pije. I nikt im nie ma tego za złe. Najważniejsze jest, jak się gra a nie - gdzie.

-Robi pani wrażenie samodzielnej, wyemancypowanej, odważnej dziewczyny, tam jednak wrażenie, że to tylko poza...

-Od dzieciństwa jestem przyzwyczajona do samodzielności. Ale czasami mam dosyć tego liczenia tylko na siebie. Zazdrozczę trochę Ewie Bem czy Krystynie Prońko, które mają wsparcie zawodowe w swoich mężach. V tej profesji kobieta szczególnie potrzebuje pomocy silnej, męskiej ręki. Niestety, ja jakoś nie miałam szczęścia. Mężczyźni, których spotkałam na swojej drodze, oczekiwali raczej ode mnie pomocy i wsparcia... Marzę, aby spotkać nareszcie faceta z krwi i kości, silnego, opiekuńczego i mądrego. Wcale nie musi być piękny. Podobno mam go poznać w lipcu przyszłego roku. Tak mi powiedział astrolog (śmiech).

-A czy tym ideałem nie jest przypadkiem Mieczysław Szczęśniak? Ostatnio bardzo często widuje się was razem?

-Z Mietkiem łączą mnie tylko więzy koleżeńskie. Nic poza tym.

-Powracając do muzyki. Pani plany na przyszłość?

-Polskie Nagrania obiecały mi kolejny kontrakt płytowy. Jak najszybciej chciałabym nagrać drugą płytę, ale tym razem z muzyką rozrywkową, w duecie z Mieczysławem Szczęśniakiem. Przygotowuję także nowy program

jazzowy. Szukam czegoś nowego, oryginalnego. Na przykład utworów, gdzie mój głos współbrzmiałby z różnymi instrumentami. Śpiewanie standardów jazzowych zmęczyło mnie. Myślę również o zmianie image. W wokalistyce jazzowej wygląd sceniczny nie był tak ważny. Uczyła się barwa głosu, wycucie harmonii, osobowość artysty. Natomiast w rozrywce ważną rolę odgrywa fryzura, sposób poruszania się, ubiór. Tego wszystkiego będę musiała się nauczyć. Choć z drugiej strony - wolałabym uniknąć robienia z siebie gwiazdy estradowej na siłę. Jestem za niska i za pulchna, aby ubrać się w skórzaną spódnicę mini, nabijaną ćwiekami. A właśnie taki obraz piosenkarki - kobiety drapieżnej, pełnej seksu, jest kreowany na polskiej scenie.

-A jakie są pani marzenia?

-Wyjechać na studia wokalne do Stanów Zjednoczonych i zostać wielką wokalistką jazzową. Pop śpiewam, bo lubię. Jazz kocham.

Rozmawiała: WIESŁAWA LIPIŃSKA